

We wtorek parę minut po jedenastej zadzwonił telefon. Nasz telefon skrzeczy, nie dzwoni. Trzeci z kolei sygnał przypomina zgrzyt paznokciem po szkle. Obrzydlistwo. Nigdy nie zdążę na czas dobiec i z miejsca jestem nastawiona wrogo do tego kogoś po drugiej stronie. Tyle razy prosiłam mamę, by zmieniła aparat, ale twierdzi, że nie pomieszkamy w tej dziurze aż tak długo, by opłacało się robić jakiegokolwiek inwestycje. I rzeczywiście. W tych sprawach ma nosa jak mało kto. Przeprowadzamy się!

Mama miota się od rana między pakami, których jest więcej, niż być powinno; telefonem, który nie stoi tam gdzie zwykle; redakcją, gdzie zostały jakieś dokumenty, i ludźmi, z którymi musi się jeszcze spotkać. Wścieka się, pluje krwią i ciska wymyślnymi przekleństwami, ale założy się, że jest w siódmym niebie. Uwielbia, gdy adrenalina wrze jej w żyłach.

Ja zachowuję niebiański spokój. Siedzę w zdemolowanym pokoju, z nogami na ławie, i gapię się na muchę spacerującą po ekranie telewizora. Ławę i fotel wynajęliśmy razem z mieszkaniem, więc nikt mnie stąd nie ruszy. Najwyżej zabiorą mi telewizor, ale bez obawy, nie nastąpi to prędko, bo tę cenną rzecz ładuje się na końcu. Jestem jeszcze w piżamie, a na brzuchu grzeję puszkę piwa wyjętą z lodówki. Otworzę, jak tylko mama zniknie z pola widzenia. Czekam na tę chwilę z utęsknieniem i dziękuję opatrności, że nie musiałam iść dzisiaj do szkoły. Dzięki kolejnej niespodziewanej przeprowadzce ominął mnie koszmar pisania wypracowania na temat tradycyjnych wartości w mojej rodzinie. Aż ciarki przechodzą mnie na myśl, ile musiałabym nazmyślać. Tradycyjne wartości! Śmiechu warte!

– Rusz tyłek i zadzwoń do tych facetów od przewozu! Już powinni tu być! Ja jeszcze muszę skoczyć do redakcji, bo należy mi się forsa za ostatni...

I już jej nie ma. Ruszam tyłek i dzwonię. Tylko ich patrzeć. Na dobrą sprawę tradycją w mojej rodzinie są przeprowadzki. Na ściennej mapie wymalowałam zygzakowaną linię naszego żywota, żeby uzmysłwić mamie jej szaleństwo. Nie powiem, doceniła mój wysiłek. Zatrzymała się kiedyś przed mapą, podumała, pokręciła głową i orzekła:

– Imponujące! I pouczające! Czy zauważyłaś, że zaniedbałyśmy południową Polskę? Następnym razem wezmę to pod uwagę!

Właśnie nadszedł ten obiecany następny raz. Nie mogę zarzucić mamie, że nie dotrzymuje słowa. Kierujemy się na południe. Jutro rozpakujemy graty, a pojutrze pójdę do identycznego liceum na drugim końcu Polski. Już nawet przestałam marzyć o chwili, gdy zakotwiczymy gdzieś na stałe. Jedyna pociecha w tym, że nie muszę oddać wypracowania, którego napisać i tak bym nie potrafiła. Tradycyjne wartości w mojej rodzinie? No nie wiem!

„Nazmyślaj!” – poradziła mi w zeszłym tygodniu.

Dobre sobie!

Oho! Przyjechała ciężarówka. To pewnie nasi faceci.

– Co mamy robić? – spytali, rozglądając się po zastawionym pakami mieszkaniu.

– Ładować, panowie! – powiedziałam, wzruszając ramionami, ale okazało się, że chodziło im o coś innego. Co mają zrobić ze sprawą, którą załatwiła za nich mama i przez którą musimy teraz zmienić klimat.

– Chyba powinniście wziąć sprawy w swoje ręce! – mówię jak te wąsate mądryle z telewizora, a faceci z powagą kiwają głowami, że tak, owszem, mam rację, nic innego już im teraz nie pozostało. Tylko szkoda, że zbyt późno to zrozumieli. Mieli niezłą

spółdzielnię mleczarską, stada krów, odbiorców za granicą, ale zachciało im się kapitalizmu, więc spółdzielnię rozwiązali, majątek przekazali syndykowi, utworzyli spółkę, powołali nowego prezesa. Ludzie dostali udziały, których się natychmiast zrzekli i przekazali dobrowolnie na rzecz prezesa. Prości ludzie, naiwnie myśleli, że tak trzeba. Sądzili nawet, że gość zrobił im łaskę, ale wraz z udziałami dostali jakąś część długów do spłacenia. A oni przecież nie chcieli długów, tylko kapitalizmu, czyli dobrobytu. Prezes w pół roku spółdzielnię rozchrzanił, majątek wyprzedał i udał się na dalszy podbój świata. Ponad setkę rodzin wystawił do wiatru, ale majątek był przecież jego i mógł z nim zrobić, co chciał. Sami mu przecież dali!

Mama zrobiła z tego reportaż, a ja pośrednio uczestniczyłam w jej pracy, przenosząc notatki z dyktafonu na dyskietkę. Zauważyłam, że najbardziej szokująca rzeczywistość, przemielona na pojedyncze słowa, traci ostrość i barwy. Na ekranie pojawia się tylko bajka o perypetiach pozytywnych i negatywnych bohaterów. I zawsze można nacisnąć właściwy klawisz, by wszystko znikło.

– Pani mama to fajna kobita. Żeby została, to my by ją burmistrzem zrobili i wszystko byłoby jak należy!

Może tak, może nie, ale co mam im wyłuszczać swoje wątpliwości. Ważne, że będą nas miło wspominać. Dla mnie to i tak marna pociecha. Muszę znowu spakować swoje książki i jestem przekonana, że tę najulubieńszą zgubię nie wiadomo gdzie. A mamie bez różnicy. Gdziekolwiek się zjawimy, trafi na jakiś szokujący temat, będzie tyrała jak wół, żeby znaleźć dowody, argumenty, kontrargumenty, a jak już wszystko zbierze, zrobi reportaż, który wstrząśnie sumieniami połowy Polaków. Druga połowa tak nam wkrótce obrzydzi życie, że będziemy musiały dorysować na mapie kolejny zygzak. Babcia mówi, że mamę diabeł na ognie nosi i coś w tym musi być, bo nie potrafi nigdzie zagrzać miejsca. Ten stan psychiczny ma pewnie jakąś nazwę i mama właśnie na to cierpi. A ja razem z nią.

– Nie denerwuj mnie! Rusz się, bo nigdy się z tej dziury nie wygrzebiemy! Jadę dać Susikowej adres i wytłumaczyć, co ma robić, a ty pognaj tych dziadów, bo ruszają się jak muchy w smole!

To mama. Wróciła, zakręciła się i znów znikła. I całe szczęście, bo ze schowanej za plecami puszki zaczęło mi się wylewać piwo za majtki.

Zazdroszczę jej tej energii. Ma w sobie jakąś radość, która sprawia, że ludzie lgną do niej jak muchy do miodu. Gdy zapyta, odpowiadają, gdy poprosi, żyły z siebie wyprują, a zrobią, co chciała. Niektórzy potem żałują, że stracili dystans i wyjawili to, co skrywali nawet przed sobą. Częściej jednak dziękują, że zrobiła coś, na co sami nigdy by się nie odważyli.

– Jak to robisz? – spytałam kiedyś, rozżalona własną nieudolnością.

– Bo ja wiem? – wzruszyła ramionami. – Lubię ludzi, lubię to, co robię!

Zauważyłam, że w jej ryzykownych działaniach nie ma strachu, jakby wszystko zło, jakie miało być jej udziałem, już się przytrafiło. Traktuje świat ze zrozumieniem i jakąś ironiczną pobłażliwością. Ja tak nie potrafię. W przeciwieństwie do niej nie lubię ludzi. Gdy już muszę być wśród nich, wyszukuję prześwity i przemykam przez nie z zamkniętymi oczami, by jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju. Każdy dzień to dla mnie problem i muszę się bardzo starać, by nie dać się wessać w tę czarną dziurę. Wieczorem odczuwam ulgę, że jeszcze ten jeden raz mi się udało. Staram się trzymać z dala od chaosu dziejącego się wokół. I tak jest dobrze, a jeśli nie całkiem, to przynajmniej spokojnie. Noszę w sobie samotność, wydzielam jej woń, wyczuwalną dla innych. Nie wiem, czy to taka naturalna skłonność, czy zostałam kiedyś zaszczepiona przeciw żywiołowości i otwartości. Od czasu do czasu dręczy mnie wątpliwość, czy aby na pewno jestem córką swojej mamy. Może gdzieś mnie podmienili albo co? Ja nie lubię niczego. Nie lubię swojego strachu, nie lubię swoich myśli, nie lubię siebie.

Nie potrafię nawet powiedzieć mamie, że nienawidzę tych wiecznych przewodzących. Potrzebuję jakiegoś miejsca, gdzie mogłabym zapaść korzenie, zbudować sobie własne ściany i pilnować, by nic nie zakłócało mi spokoju, który wypracowałam z takim trudem. Jestem bezwolna jak owca i za to też się nie lubię.

Wyjrzałam przez okno, ale faceci zwijali się jak należy. Wcale nie trzeba ich było poganiać. Za zasłonką znalazłam ukrytego tu kiedyś pall malla. Podkradam je czasem mamie i popalam, żeby zaimponować samej sobie.

Było parę minut po jedenastej, kiedy zadzwonił telefon.

Zgrzyt paznokciem po szkłe! Zerwałam się na równe nogi. Puszka sturlała się z kolan na fotel, z fotela na podłogę. Słyszałam, jak toczy się i rozchlapuje resztki piwa. Cholera! Gdzie ten telefon? Stał gdzieś między pakami i to jego szczęście, bo miałam ochotę go rozdeptać. Po kilku sygnałach umilkł. Kręciło mi się w głowie. Najchętniej wślazłabym pod koc i przespała całe to zamieszanie, ale faceci kręcili się po mieszkaniu i musiałam przynajmniej pozorować jakieś działanie.

Sprałam płamę z fotela, otworzyłam okna, ale wściekły zapach browaru i dymu z papierosów wgrzyźł się w ściany. Trudno, w razie czego zwalę na facetów. W ramach moralnej rekompensaty zaniósłam im wodę mineralną i poradziłam, żeby zwolnili trochę tempo. Skorzystali z rady. Usiedli i opowiedzieli co nieco o sprawie, którą mama tak nagłośniła, że minister przyjechał, a prezesowi prokuratura dobrała się do galotów. Reportaż puścili dwa razy na antenie ogólnopolskiej. Faceci mieli ochotę pogadać i gdybym wykazała tyle co trzeba zainteresowania, opowiedzieliby mi wszystko jeszcze raz. Nie chciało mi się jednak słuchać ich łzawej historii. Gdyby tu była mama, usiadłaby z nimi, zapaliła faję i wysłuchała lamentów. Twierdzi, że każdy człowiek ma potrzebę wygadania się, tylko rzadko trafia na taką okazję. Ludzie generalnie nie lubią słuchać innych. Ona to uwielbia i jeszcze zarabia na tym kupę szmalu.